NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU"

Niedziela, 12 VI 1955

Rok VI Numer 23

Policjanci • Business • I ciężkie czołgi

Edward Claudius

Kierowca samochodu, jeżdżąc po obcych miastach, czuje się zawsze trochę niepewnie, cóż dopiero, gdy znajdzie się w Niemczech zachodnich. Nie ma tu bowiem ograniczenia szybkości, każdy jedzie sobie tak, jak chce. Co chwila mija nas jakiś samochód, głośno trąbiąc i biorąc zakręt w takim tempie, że włosy nam stają na głowie. Kiedy okrążyliśmy dworzec w Moguncji w poszukiwaniu placu postoju dla samochodów i ujrzeliśmy zbliżającego się ku nam policjanta z twarzą rozświetloną uśmiechem, poczuliśmy się bardzo niewyraźnie. Odpowiedziałem mu oczywiście również uśmiechem i spojrzałem pytająco, układając sobie w myśli, co mu powiem: jesteśmy przecież przyjezdni...

Ku memu zdumieniu policjant okazał się równie zakłopotany, jak ja. Wciąż się uśmiechając, powiedział:

— Przepraszam, ale... Stanął koło wozu, przyglądał mu się długo, obejrzał czerwonobiały znak fabryczny na masce i odczytał głośno: „Fabryka Samochodów w Eisenach". — Obszedł wóz jeszcze raz dookoła, przystanął obok tabliczki z numerem i zauważył: — czegoś podobnego jeszcze nie widziałem... To przecież dawne BMW.

Gdybyż mu tylko o to chodziło? Czuję się niewyraźnie, bo wiem, że w tych stronach, począwszy od Moguncji po obszar Saary, w tej krainie pełnej słońca, wina i sadów, zwanej prowincją Pfalz, rosną nie tylko owoce, jarzyny i wino, i że nie wszystkim jest na rękę, żeby byle przybysz oglądał, co się tu dzieje. Do tego jeszcze ten samochód, a w samochodzie człowiek, uprawiający tak niebezpieczny zawód, jak mój.

Staram się wytłumaczyć wszystko policjantowi.

— A więc — mówię — dawne zakłady BMW, zburzone przez Amerykanów, zostały znowu odbudowane. A ponieważ odbudowali je robotnicy, więc też do nich należą, są własnością społeczną...

— Własność społeczna? — Chudy, dosyć poczciwie wyglądający policjant, czytał już gdzieś to słowo, ale nie zastanowił się nad jego sensem, nad jego właściwym znaczeniem.

— Czyżby tam też robiono samochody?

Słowa jego nie mają w sobie nic wrogiego. Przeciwnie, brzmią nawet przyjaźnie. Odpowiadam mu również pytaniem:

— Dlaczego nie mielibyśmy budować samochodów? Przecież jesteśmy takimi samymi Niemcami i pracujemy tak samo, jak wy tutaj!

Policjant kiwa głową. Przytakuje z namysłem. Już po raz setny słyszę podobne pytania. Naiwność ludzka przekracza czasem wszelkie wyobrażenie. Nieraz zdarzało nam się, że ludzie dotykali naszych ubrań i pytali:

— Jesteście stamtąd? Ależ to przecież wełna!

Nasz wóz oglądano ze wszystkich stron, podnoszono maskę, przypatrywano się silnikowi, jak gdybyśmy przybyli z innej planety, i zadawano zawsze to samo pytanie:

— Fabryka Samochodów w Eisenach? A ile benzyny zużywa ten wóz?

Policjant przysłuchuje się uważnie i życzliwie moim „fachowym" objaśnieniom i rozmowa toczy się dalej. W końcu zauważa:

— Jak się tego wszystkiego słucha... No tak, uciekinierzy ze wschodu bają niestworzone rzeczy! Poznaliśmy się już na nich! Mamy ich pełno po więzieniach...

Kiedy pożegnałem się i odszedłem parę kroków, przywołał mnie z powrotem.

— A potem, z Moguncji, dokąd pan chce jechać?

Odpowiadam mu, wymieniam Schwarzwald, Jezioro Bodeńskie, miasta bawarskie.

— Tu jest bardzo pięknie — mówię.

— Pięknie? O tak, niech pan napisze o pięknie tego kraju. — W głosie policjanta brzmi nuta, która mówi mi więcej niż wypowiedziane słowa. — Ale niech pan jedzie bez wozu — dodaje.

☆

Stare miasto w Moguncji leży wciąż jeszcze w gruzach i nigdy chyba nie odbuduje się w swej dawnej piękności. Na pierwszy rzut oka nie widać ruin. Reklamy kin jaskrawymi plamami barwią nowe fasady. Wdłuż ulic ciągną się mury, zasłaniające gruzy przed oczyma przechodniów. Przy większych ulicach stoją małe, jednopiętrowe domki ze sklepami, jasno otynkowane lub wyłożone klinkierem czy kaflami. One również zakrywają ruiny. Kiedy jednak nastaną dni bez deszczu i powieje wiatr, w powietrzu unoszą się chmury czerwonego pyłu. Naokoło katedry, wzdłuż starych, starannie uprzątniętych uliczek, na lewo i na prawo piętrzą się gruzy, bryły ciosanego przed wiekami czerwonego piaskowca, nieruszone rękę ludzką od chwili, gdy po raz ostatni zawyła syrena, odwołująca alarm lotniczy. Tylko kępy chwastów porastają skąpo bezładne kupy kamieni.

W pobliżu katedry skuliły się stare domki. Koło wiekowej gospody o pięknych witrażach i mocno zniszczonej fasadzie stoi mały budyneczek, równie stary jak ona. W tym to domku urządzono bar. Dotychczas zdawało mi się, że znam się na barach, twierdziłem nawet, że zgromadziłem spory zapas wiadomości o stylu różnych lokali rozrywkowych, ale bar w tym cichym zaułku, koło starożytnej katedry — w Moguncji, przeszedł moje oczekiwania.

Hałas dochodził aż na ulicę, rozdzierał ciszę zaułka obcym, wrogim dźwiękiem. Każdy kraj ma swój własny, odrębny ton zgiełku ulicznego. Na ulicach Mediolanu rozbrzmiewają zupełnie inne dźwięki niż w Paryżu, w Bar-

(Dokończenie na str. 2)

Pozdrowienia z dalekiej Korei

List wyróżniał się spośród innych niecodziennym, egzotycznym znaczkiem pocztowym. Przyniosła go poczta z dalekiej Korei. Ten piękny kraj, przed wojną prawie zupełnie w Polsce nieznany, stał się nam wszystkim bliski przez bohaterską walkę, którą naród koreański toczył w obronie zagrożonej wolności. Obecnie dla Korei nastały czasy pokoju i urodzaju. W dźwigania się ze zniszczeń wojennych narodowi koreańskiemu pomagają polscy inżynierowie, lekarze, budowniczowie, technicy, murarze — również z Poznania.

List, który otrzymaliśmy, zawiera serdeczne pozdrowienia dla wszystkich Czytelników naszego pisma od pracowników Poznańskiego Zjednoczenia Budowlanego oraz wycinek z prasy ze zdjęciem, pokazującym zespół rewelersów pracowników PZB w czasie występów, które — acz amatorskie — zdobyły sobie szczere uznanie mieszkańców Wonsanu.

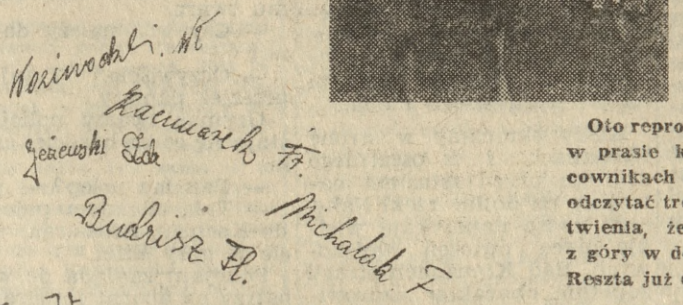

Tak wygląda adres naszej redakcji — oczywiście po koreańsku.

세계 청년 주간 제三일

Oto reprodukcja artykułu zamieszczonego w prasie koreańskiej o poznańskich pracownikach budowlanych. Tym, którzy chcą odczytać treść artykułu, podajemy dla ułatwienia, że pismo koreańskie czyta się z góry w dół i od strony lewej do prawej. Reszta już chyba pójdzie łatwo...

Sienkiewicz w 60 tomach

Z zawodową wprawą ręce chwytają świeży egzemplarz książki, oczy śledzą okładkę, grzbiet, kontrolują strony tytułowe i druk. Jeśli zauważano jakiś błąd techniczny, książka wędruje do „braków", jeśli wszystko jest w porządku, „Piśmiennictwo o H. Sienkiewiczu" przechodzi z rąk kontrolerów do ekspedycji. Starannie opakowane książki lądują po gładkim ześlizgu w ciężarowym samochodzie. Za kilka dni „Piśmiennictwo..." znajdzie się we wszystkich ekspozyturach wojewódzkich Domu Książki. Proces ten trwa oczywiście znacznie dłużej niż ten — niezmyślony zresztą — skrócony opis.

W Zakładach Graficznych im. M. Kasprzaka w Poznaniu każda książka odbywa tę drogę i fakt ten niczyjej uwagi na dłużej nie zatrzymuje. W danym wypadku jednak pełny tytuł książki ma dla nas szczególne znaczenie: Henryk Sienkiewicz DZIEŁA t. LX, — Piśmiennictwo o Henryku Sienkiewiczu — Materiały bibliograficzne opracował Julian Krzyżanowski przy współudziale Z. Daszewskiego.

Jest to sześćdziesiąty, a zarazem ostatni tom pierwszego powojennego wydania dzieł wszystkich Henryka Sienkiewicza. Jak sam tytuł szczegółowy wskazuje, nie jest to „Dzieło" Sienkiewicza, tylko opracowanie bibliograficzne. Taki sam charakter zresztą miały wraz z dwoma sążnistymi tomami „Korespondencji" wszystkie tomy ostatnie, a więc: t. LVII „Kalendarz życia i twórczości Henryka Sienkiewicza", t. LVIII „Dzieła Sienkiewicza, Bibliografia", t. LIX „Dzieła Sienkiewicza w przekładach, „Bibliografia".

Ostatnie tomy ukazują nam Sienkiewicza jako człowieka zdumiewającej pracowitości, autora pięćdziesięciu przeszło prac literackich, dziennikarza, który przez osiemnaście lat zawodowej praktyki i później już w pełni rozwoju talentu literackiego poganiany był rytmem maszyn drukarskich.

„Kalendarz" rejestruje po raz pierwszy olbrzymi materiał dotyczący życia i twórczości. W myśl założeń wydawcy (Państwowy Instytut Wydawniczy) i redaktora „Dzieł" prof. J. Krzyżanowskiego materiały powinny stać się zaczątkiem nie istniejącej dotychczas bibliografii literackiej naszego najpopularniejszego pisarza.

Prace naukowe nad wydaniem „Dzieł" prowadzone pod kierunkiem prof. J. Krzyżanowskiego doprowadziły do najmniej spodziewanych wśród zniszczeń powojennych rezultatów: przyczyniły się mianowicie do odkrycia wielu nieznanych dotąd rękopisów, na których oparto po raz pierwszy teksty. Wystarczy dla przykładu wspomnieć, że z końcem czerwca 1951 odnaleziony i przekazany został do zbiorów Biblioteki Narodowej rękopis „Quo vadis". Wykorzystano również rękopisy kilkuset nie publikowanych dotąd listów, które złożyły się między innymi na dwutomowe wydanie „Korespondencji".

Tom LIX traktujący o przekładach na języki obce przynosi po raz pierwszy tak olbrzymi, acz niekompletny jeszcze, materiał stanowiący podstawę do określenia znaczenia Sienkiewicza w świecie. Plon poszukiwań dał w wyniku około 1800 pozycji przełożonych na 42 języki. Dawniejsze opracowania wymieniały zaledwie 600 przekładów.

Na zdjęciu: Zofia Szubert z Zakładów Graficznych im. M. Kasprzaka omawia z przedstawicielem PIW — K. Lipińskim, sprawę ekspedycji 60 i ostatniego tomu „Dzieł" Sienkiewicza. Zofia Szubert, kierowniczka ekspedycji, kilkakrotna przodownica pracy, odznaczona srebrnym krzyżem zasługi, wyekspediowała w okresie swej paroletniej pracy kilkadziesiąt milionów książek!

Wreszcie tom LX, który co dopiero zszedł z maszyn drukarskich, zawiera zestawienie literatury o Sienkiewiczu. I znowu cyfra 3828 prac o Sienkiewiczu musi starczyć za omówienie. Cyfra zresztą znowu na pewno niepełna. Wskazują na to często sami autorzy opracowań. Siłą bowiem faktu ogrom zadań wykonany w niedługim stosunkowo czasie (pierwszy tom obecnego wydania zbiorowego ukazał się w r. 1947), konieczność odszukania setek pozycji wśród zdewastowanych zbiorów bibliotecznych mogły stać się, szczególnie w pracach pionierskich, przyczyną wielu pomyłek. Wyśledzenie niedociągnięć i kontynuacja prac nad najpopularniejszym w Polsce i w świecie polskim pisarzem jest rzeczą fachowców.

W roku przyszłym przypada 110 rocznica urodzin i 40 rocznica śmierci Sienkiewicza, upływa też z końcem bieżącego roku 50 lat od czasu nadania autorowi „Krzyżaków" nagrody Nobla. Ilość choćby okolicznościowych pozycji w periodykach i w prasie przyczyni się na pewno z tej okazji do znacznego ożywienia na polu zaniedbanych badań nad życiem i twórczością Sienkiewicza. W pracach tych kompletne wydanie „Dzieł" odda zarówno naukowcom jak i gorliwym czytelnikom Sienkiewicza nieocenione przysługi. Wówczas lepiej będziemy mogli ocenić znaczenie wydarzenia, które dziś mimochodem notujemy.

I trudno przy tym pominąć milczeniem fakt, który losom wydań sienkiewiczowskich dodaje przysłowiowych rumieńców życia. Otóż — pierwszym wielkim dziełem literackim wydanym w Polsce Ludowej byli „Krzyżacy" Sienkiewicza w nakładzie „Czytelnika i Ossolineum". Dziś egzemplarze tego wydania, rozchwytane z miejsca w sierpniu 1945 r., należą do rzadkości bibliofilskich. A obecne, najpełniejsze wydanie naszego najpopularniejszego klasyka polskiej literatury zbiega się z dziesięcioleciem imponujących osiągnięć Polski Ludowej także w ruchu wydawniczym. Zanotować trzeba wreszcie i fakt wprawdzie nie najważniejszy, ale i nie błahy, że wszystkie tomy zbiorowego Sienkiewicza wyszły do księgarń, jak tom ostatni, z drukarni poznańskiej.

A. W. WALCZAK

Satyra siedmiu miast

Rozpędził się dobry duch satyry i humoru. Już nie tylko aktorzy, radiowcy i filmowcy, ale i studenci przystąpili do ofensywy krytyki wyostrzonej dowcipem i śmiechem. Jak grzyby po deszczu powstają studenckie zespoły satyryczne. W ubiegłym tygodniu amatorzy „z uniwerku i politechniki" wzięli udział w Ogólnopolskim Konkursie Amatorskich Zespołów Artystycznych. Centralne eliminacje odbyły się w stolicy. Były one jednocześnie eliminacjami do Festiwalu Młodzieży.

W ciągu dwóch dni przewinęło się przed oczami jury i zaproszonej publiczności siedem zespołów z różnych miast uniwersyteckich Polski. Jury składało się z bardzo poważnych i autorytatywnych mistrzów satyry — K. Rudzkiego, J. Jurandota, H. Bielickiej, J. Prutkowskiego, W. Brudzińskiego i artystki dramatycznej K. Lubieńskiej.

Pierwsze miejsce przyznano Studenckiemu Teatrowi Satyryków przy Politechnice Gdańskiej. Drugie miejsce zajął Studencki Teatr Satyryczny z Warszawy, *trzecie — Zespół Satyryczny Studentów Uniwersytetu Poznańskiego*. Poza tym jury wyróżniło Zespół Satyryczny Wydziału Dziennikarskiego Uniwersytetu Warszawskiego.

Gdańszczanie zasłużyli w pełni na pierwsze miejsce. Wyróżnili się ciekawą, inteligentną reżyserią i niezwykle pomysłową oprawą plastyczną. Nie pozostała w tyle sztuka aktorska. Na scenie błyszczały nie tylko reflektory, lecz i talenty. Przyjemną niespodziankę sprawił wysoki poziom roboty reżyserskiej studentów Zb. Cybulskiego i B. Kobieli. W „kuluarach" rozeszła się szybko wieść, że jeden z nich „robi" już w filmie. I tu leży przyczyna, dlaczego program jest bardziej filmowy niż teatralny, pod wyraźnymi zresztą wpływami włoskiej szkoły.

Szczególne owacje otrzymali zwycięzcy za scenografię: dekoracje i kostiumy. Żywiołowe oklaski towarzyszyły zresztą gdańszczanom przez cały czas trwania spektaklu. Trzeba podkreślić, że walka o palmę pierwszeństwa toczyła się bez żadnych międzyuczelnianych zawiści. Ze zrozumieniem i temperamentem przyjmowano sukcesy rywali.

Wysoki poziom literacki tekstów dał zespołowi warszawskiemu drugie miejsce. Napracowali się koledzy A. Jarecki i J. Abramow, autorzy większości skeczów. Gdyby ich mocnemu, ciętemu słowu towarzyszyło równie inteligentne wykonanie, wiele byłoby tu perełek prawdziwej satyry i humoru.

Poznaniacy wystawili program pt. „Otrzęsiny". Za mało wprawdzie było tu „otrząsania" w porównaniu z częścią muzyczną i wokalną, zatracona była równowaga. Nie zmienia to faktu, że z przyjemnością słuchaliśmy lirycznych piosenek w dobrym wykonaniu N. Dobrowolskiej. Jednak zostaliśmy głodni... satyry. Teksty były niezłe. Świetne było szybkościowe badanie lekarskie w ośrodku akademickim, bardzo dobra „Wycieczka po Poznaniu" — jedyny chyba tekst w eliminacjach, który sięgnął tematyką poza krąg studencki. *Karolina Lubieńska zachwycona była doskonałą dykcją satyryków poznańskich, oceniając ich sposób mówienia na równi z aktorami zawodowymi.*

Zawiodła oczekiwania Dziennikarska Spółdzielnia Satyryczna. „Udziałowcy" tłumaczyli się, że o godzinie dziewiątej rano, bo o tej porze rozpoczynali swoje występy, żaden aktor nie potrafi dobrze grać, nie może mieć dobrego głosu. Studenci gdańscy jednak również rozpoczynali rano. Ale nie tyle jeszcze rozczarowało wykonanie, co słabe, rozmazane teksty. Od dziennikarzy można by oczekiwać bardziej uskrzydlonego dowcipu.

O trzech pozostałych zespołach tylko kilka słów. Publiczność była zażenowana nieudolnością i małą kulturą aktorską amatorów. Ich wyraźną klęskę pokryto w kuluarach milczeniem. Najwięcej pretensji miała publiczność do studentów krakowskich. Tyle tradycji, tyle doświadczenia aktorskiego w tym mieście. I to właśnie w dziedzinie kabaretowej. Nic z tego nie wyłowiono, z niczego nie skorzystano. Spektakl ich dobiły słowa konferansjera, rzucone pod koniec programu: „Nikogo nie uraziliśmy, nikt do nas nie ma chyba pretensji". Więc cóż, mili krakowianie, krytykować tak, żeby — broń Boże — kogoś nie dotknąć? A więc po co?

*

Po dwudniowych obserwacjach eliminacji nasuwają się dwa zasadnicze braki studenckiej satyry: nienadążanie za problemami współczesnego życia i zawężanie tematyki. Stołówka, dom akademicki, nadczynność organizacyjna, bezduszność, ten etap jeszcze, czy już inny... Te bolączki nieustannie przewijają się w programach. Czy tylko o takie wyboje potykają się studenci w codziennym życiu, w nauce i odpoczynku?

TERESA KUCZYŃSKA

Amerykanie na ulicach Trewiru.

Na temat upodobań masowych

W czasie trwania Dni Oświaty, Książki i Prasy poprosiłem kilkadziesiąt osób, najczęściej przypadkowo spotkanych przy najróżniejszych okazjach, by na karteczce wypisały swój beletrystyczny „spis życzeń". Chodziło o nazwiska ulubionych autorów, których dzieła uczestnicy ankiety chcą czytać, tytuły tych dzieł, a wreszcie tematykę lub gatunek utworów.

Wyniki ankiety na pewno będą niepełne, lecz chyba ich ogólny kierunek jest słuszny. Znajduje przecież potwierdzenie w życiu. Przede wszystkim więc można było stwierdzić nieustające zamiłowanie czytelników do pisarzy - klasyków. Poza Sienkiewiczem, Prusem, Żeromskim — jeśli chodzi o pisarzy polskich, najczęściej wymienianymi autorami obcymi są niemal zawsze: mało przed wojną znany wśród najszerszych warstw — Honoriusz Balzac, dalej Tołstoj, Dickens, Gorki i najmłodszy, jeszcze żyjący klasyk — Szołochow (cieszący się zresztą dobrym zdrowiem i pisarską młodością — ma zaledwie 50 lat). Ci z reguły biją rekordy popularności. We współzawodnictwie z przodownikami jakoś dają sobie radę spośród współczesnych — Igor Newerly swoją „Pamiątką z celulozy", Meissner i... Szpanow, autor dwu sporych tomów sensacyjnej powieści politycznej.

Nazwisko Szpanowa powtarza się często. Nawet mnie to zaciekawiło, bo nie uważam, by „Podżegacze" zasługiwali na wysoką rangę literacką. Zdaje się, że po prostu Szpanow, opowiadając na blisko tysiącu stron o kulisach przygotowań polityków hitlerowskich i ich amerykańskich protektorów do drugiej wojny światowej, spełnił postulat czytelnika, ciekawego jak to naprawdę było. Nadał swej opowieści, opartej na autentycznych dokumentach, cechy sensacyjnego romansu — i to właśnie podoba się masowemu czytelnikowi. Nie ma on do autora żadnych pretensji, że powieść jest tak długa. Na pewno mogłaby być jeszcze dłuższa, gdyż spełnia warunek podstawowy, opowiada o p r a w d z i w y c h wydarzeniach wielkiej polityki.

Obok Szpanowa często wyrażane jest pragnienie „pasjonujących powieści o przygodach na lądzie i morzu". Ciekawe, że na tej samej karteczce, po Balzaku i Gorkim uczestnicy ankiety wymieniali gatunek literatury sensacyjnej i „przygodowej". Znaczy to, że obok wielkiego przeżycia artystycznego, chcą oni znaleźć chwilę zabawy, rozrywki, odpoczynku. To właśnie daje powieść tego typu. Tych ostatnich polscy autorzy prawie w ogóle nie tworzą. Chyba nie z przekonania, że to zbyteczny trud. Jakie rezultaty? Możecie sprawdzić sami, próbując kupić powieść poznańskiego „pioniera" w tej dziedzinie — Piotra Guzego. Jego książka „Następny odchodzi 22.25" dopiero miesiąc temu dostarczona na półki księgarskie — została rozchwytana. Już jej nie kupicie. Nie dlatego, by była arcydziełem. Jest po prostu dobrze skonstruowaną, napisaną wartkim, nie tanim językiem powieścią o wątku szpiegowskim. Masowy czytelnik nie dostrzega paru potknięć psychologicznych w rysunku postaci, paru niekoniecznie logicznych powiązań akcji (które można było rozwiązać inaczej) — nigdy nie będzie miał pretensji do autora o to, że nie pokazał np. pełnego obrazu życia stolicy, z jego wszystkimi pozytywami. Gdyby Piotr Guzy pokazywał w swej powieści sensacyjnej te elementy nie „makietologicznie", lecz gruntownie, konkretnie — musiałby wziąć rozbrat z uprawianym gatunkiem, a do tego w żadnym wypadku namawiać go nie trzeba, bo jest jednym z nielicznych, którzy starają się wypełnić puste miejsce niezrealizowanego „zamówienia społecznego", w najlepszym pojęciu tego słowa.

Oczywiście, nie można planować jakiejkolwiek powieści, póki autor nie zaproponował jej wydawnictwu. Dlatego niniejsze słowa nie mogą być traktowane jako doraźna... interwencja, jak to było w jednym z miast dolnośląskich, gdzie władze powiatowe uchwaliły „napisanie powieści o naszym mieście". Czasem jednak warto sobie uświadomić pragnienie masowego czytelnika, by odczuć żywą potrzebę stworzenia dzieła, którego czytelnicy oczekują, którego pragną.

Pewna uczestniczka ankiety powiedziała wprost:

— Nikt nie pisze o miłości w ustroju socjalistycznym.

— Jak to?!? — oburzyłem się półżartem, półserio. — Bez miłości w powieści nie podpisze umowy z autorem żadne wydawnictwo!

— ...może i ma pan rację — odrzekła niechętnie po chwili — lecz prawie we wszystkich powieściach miłość jest, jakby to powiedzieć, doczepiona do innych, nie mniej ważnych spraw. A czy u ludzi młodych, nie bywa uczucie miłości najistotniejszym problemem życia? Pan mówił, że młodzież chętnie czyta „Pamiątkę z celulozy". To prawda. Zastanawiałam się nad przyczyną. Leży ona, poza innymi wielkimi wartościami, także w tym, że Newerly nie zapomniał, iż młodzi ludzie, a dotyczy to również bohaterskich rewolucjonistów, zawsze mają jakieś perypetie miłosne. Bohaterów powieści wprost to zobowiązuje. Bez niej lepiej nie wpuszczać ich w ogóle na kartki książek. ...no, a Newerly przedstawił miłość Szczęsnego i Madzi w jakiś naprawdę piękny, krzepiący sposób. Właśnie dlatego młodzież chętnie tę powieść czyta. Szuka w niej swojego ideału. Jest dobry z przeszłości, a z współczesności?

Po chwili cierpko dodała:

— Sama wyciągam „Trędowatą" spod ławek moich uczennic. Czerwienią się, wstydzą, ale niestety... czytają. Czy nie można by temu zaradzić?

Można by, lecz to wcale nie takie proste. Wyrabianie gustów literackich, szczególnie u młodzieży, jest sprawą skomplikowaną i trudną. Wydaje się jednak, że rzeczywiście polscy pisarze jeszcze nie odpowiedzieli na „zamówienie społeczne", powiedzmy ...dorastających panienek. One bardzo lubią czytać „o miłości". Nie sięgają po Mniszkównę dlatego, że jest najciekawsza; sięgają, ponieważ po prostu niczego innego nie ma. Skutki są oczywiste: młoda, wchodząca dopiero w życie dziewczyna, otrzymuje straszliwie skrzywione wyobrażenia obyczajowe, które mogą zaciążyć na jej psychice. Dlatego wychowawczyni ma rację mówiąc, że istnieje potrzeba stworzenia dzieł literackich „o miłości w czasach współczesnych". Powieści mogą inaczej ukształtować ideały, pragnienia, cały program życiowy wzrastającego pokolenia. To sprawa bardzo poważna. Pilna. Można rzec — paląca. Sam Newerly niestety nie wystarcza.

Zresztą wielkie zamiłowanie do klasyków, wielka popularność Szołochowa, Tołstoja, którym nie obce były sprawy miłości — polega chyba i na umiejętności artystycznego przedstawiania tych spraw. To także wiele tłumaczy.

JACEK MILCZEWSKI

Policjanci, business i ciężkie czołgi

(Ciąg dalszy ze str. 1)

celonie, inne niż w Warszawie czy Pradze. Ale nawet w Mediolanie z pewnością nikt nie słyszał takiego hałasu, jak w tym moguncklm barze. Długi korytarz prowadzi do właściwego baru. Przed laty była to zapewne zwykła knajpa, w której siedzieli sobie wieczorem moguncccy mieszczanie przy kuflu piwa. Zapach wszelkich gatunków alkoholu uderza nas jeszcze przed drzwiami. Z jakiegoś aparatu słychać muzykę, zdolną zmusić najspokojniejszego psa do wycia.

Bary rozsiane są gęstą siecią po wszystkich zachodnioniemieckich miastach, a każdy nosi jakąś egzotyczną nazwę. Można by wędrować od baru do bary przez całą noc. W każdym lokalu jest przyćmione światło, większość z nich ma lustrzane ściany, a ponad lustrami widnieją wymalowane po dyletancku akty kobiece. Nagie kobiety leżą pod palmami, czy nad brzegiem morza, stoją za krzakiem, który niczego przed okiem widza nie ukrywa, a wielki, silny marynarz usiłuje je złapać. Namalowane kobiety tak są do siebie podobne, jak gdyby były siostrami. Wszystkie też mają służyć jednemu tylko celowi: popierać interesy dziewcząt i właścicieli barów.

Szosa do Bingen, którą ruszyliśmy nazajutrz w stronę doliny rzeki Nahe, była zupełnie zapchana przez transporty wojskowe: małe zwrotne jeepy, półciężarówki, wiozące żołnierzy, zapatrzonych z wyrazem znudzenia w lipcowe słońce, wielkie wozy z amunicją, ciągniki na kołach i ciągniki na gąsienicach. Wkoło nas szczęk, trzask i huk. Kiedy chciałem wyminąć wozy, wydałem się sobie małym komarem, który każdej chwili jest narażony na zgniecenie.

Był piękny lipcowy dzień. Chłopi zbierali owoce na plantacjach, ciągnących się wzdłuż drogi. Tu i ówdzie rozpoczęto już żniwa. Patrzyłem na nie z mimowolną myślą, że oto w jesieni zapełnią się stodoły i zaczęła mi się udzielać wisząca w powietrzu, upajająca jak wino, radość zbierania plonów. Jeszcze nie widać Bingen, ani wysokich brzegów Renu, skrytych za mglistą zasłoną gęstych oparów na horyzoncie. Góry Taunus błękitnieją w oddali pastelowym blaskiem na tle jaśniejszego nieba.

Kiedy skręcamy w stronę Kreuznach i z ostatniego wzgórza przed miastem patrzymy na dolinę rzeki Nahe, oczy nasze napotykają wielkie place ćwiczeń wojskowych. Bad Kreuznach stracił zupełnie charakter uzdrowiska. Dziś miasto jest pełne zgiełku, huk motorów wstrząsa starymi domkami śródmieścia, aż rynny dygocą na dachach. Nowozbudowany most jest za wąski, by pomieścić amerykańskie ciężarówki, za blisko siebie stoją kamieniczki w ulicy, prowadzącej do Hunsrueck. Czy długo jeszcze potrwa, nim przeprowadzą nowe, proste szosy, i pod uderzeniem kilofa padnie to, co kiedyś było nierozłącznie związane z pojęciem Bad Kreuznach? Przykre, niespokojne myśli budzi przejazd przez miasto...

Nagle jakiś zator na szosie. Oto trzej mężczyźni w mundurach zatrzymują prywatne samochody. W powietrzu migają papiery, ręka jednego z policjantów dotyka daszka. Teraz kolej na nas.

— Pan jedzie ze wschodniej strefy? — pyta po niemiecku jeden z policjantów.

— Nie — odpowiadam — jadę z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, z Poczdamu.

Szybkie spojrzenie, nieokreślony grymas wykrzywia mu twarz.

— Czy wóz należy do pana?

— Oczywiście. Tutaj są przecież papiery.

Grymas twarzy policjanta staje się coraz bardziej cierpki.

— Pan ma urlop? — pyta.

— Tak, chciałem pojechać do Kochem, Bittburga, wreszcie w góry Eifel.

Policjant zagląda do wozu, patrzy na aparat fotograficzny, ale nic nie mówi.

Wreszcie stojącemu w pobliżu policjantowi amerykańskiemu znudziło się czekanie i zawołał coś do niego. Twarz stojącego przede mną urzędnika przybrała natychmiast wyraz służalczości. Odpowiedział mu po angielsku, a potem zwracając się do nas, rzekł:

— Musi pan zawrócić. Nie ma pan nic do szukania w Kochem ani w Eifel...

Zawracamy bez jednego słowa. W Eifel, w Hunsrueck, są manewry. Nasze oczy byłyby niepożądanymi świadkami. My sami, choć uzbrojeni tylko w te oczy—jesteśmy niepożądani. Na niemieckich szosach, na polach, falujących niesprzątniętym może jeszcze zbożem, odbywają się manewry. Manewry w lasach, po których pędzą zwierzęta leśne w panicznej ucieczce, w lasach, których drzewa padną niedługo pod naporem ciężkich czołgów.

Manewry! Manewry zamorskich wojsk na niemieckiej ziemi! Po co? W czyim interesie?

Opracowała i tłumaczyła
Irena Naganowska

Konkurent

Poruszenie w Londynie wywołało opublikowane niedawno doroczne sprawozdanie słynnego towarzystwa budowy i eksploatacji okrętów Lloyd za rok 1954, omawiające rezultaty budownictwa okrętowego w wielu krajach. Ze sprawozdania tego wynika bowiem, że dla Wielkiej Brytanii wyrósł — i to częściowo pod jej własną opieką — groźny konkurent. Są to Niemcy zachodnie, które w roku ub. wśród państw kapitalistycznych — poza Anglią i Stanami Zjednoczonymi — wybudowały najwięcej okrętów. Stocznie zachodnioniemieckie wypuściły 268 statków o łącznej wyporności 963,114 ton, co oznacza w porównaniu z rokiem 1953 wzrost o 144,893 tony. Równocześnie eksport niemiecki statków wyższy był od eksportu jakiegokolwiek innego kraju kapitalistycznego w tej dziedzinie.

Rozumiemy, że w atmosferze ostrej konkurencji liczby te nie dały angielskim kołom finansowym powodów do szczególnej radości.

Kilka słów o Instytucie Badań Literackich

Bieżący Rok Mickiewiczowski jest nie tylko okresem obchodów i uroczystości ku czci twórcy „Dziadów" i współczesnych mu postępowych pisarzy i działaczy społecznych — ale i czasem wzmożonej pracy naszych uczonych i placówek naukowych dopełniających, systematyzujących i popularyzujących wiedzę o polskim romantyzmie. Na czoło wysuwa się tutaj Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk i dlatego warto przypatrzyć się bliżej jego organizacji i pracy.

Dzieła monumentalne

Działalność Instytutu Badań Literackich opiera się — w przeciwieństwie do czasów przedwojennych — na pracy zespołowej. Wszyscy uczestniczący w niej badacze, reprezentujący różne stopnie i stanowiska naukowe (od profesora do asystenta), współdziałają w pracach, które jednemu uczonemu — jak np. twórcy „Bibliografii polskiej" — prof. Estreicherowi — mogą zająć całe życie względnie przerastają w ogóle jego możliwości twórcze. Toteż Instytut Badań Literackich wykonuje lub planuje wykonanie wielu monumentalnych prac, potrzebnych i cennych nie tylko dla jednego pokolenia badaczy literatury. Mowa tu oczywiście o działalności Instytutu przede wszystkim w zakresie bibliografii, słownikarstwa i historii literatury okresów zaniedbanych dotąd przez wiedzę polonistyczną, jak np. wieku XVII lub międzywojennego dwudziestolecia.

Praca Instytutu Badań Literackich jest nie tylko zespołowa, ale i wielotorowa. Obejmuje ona całokształt problematyki nowoczesnej nauki o literaturze polskiej od tzw. nauk pomocniczych, a więc od bibliograficznego opisu dzieła literackiego i ustalenia najlepszej, najwierniejszej redakcji tekstu do jednoznacznej, krytycznej interpretacji tekstu opierającej się, jak i cała praca Instytutu, na metodzie marksistowskiej.

Przejdźmy pokrótce, nie wyczerpując oczywiście całokształtu problematyki, poszczególne ogniwa działalności IBL-u. Bardzo daleko posunięte jest zebranie bibliografii, tak tekstów literackich, jak i wszystkich opracowań dotyczących literatury. IBL przygotowuje do druku nowe wydanie bibliografii literatury polskiej, którego pierwszą redakcję sporządził w latach międzywojennych prof. Gabryel Korbut. O znaczeniu nowego wydania — którego tom, obejmujący bibliografię renesansu polskiego, już się ukazał — świadczy fakt, że przedwojenne dwa tomy urosły do pięciu, zawierających niewspółmiernie bogatszy i dokładniej opracowany materiał faktograficzny. Należy przy tym wspomnieć o cennym współudziale w tej pracy poznańskiego ośrodka bibliograficznego. Tom renesansowy jest dziełem pracowni prof. Pollaka, a tom, obejmujący okres 1863—1914, opracował zespół pod kierunkiem prof. Szweykowskiego. Pracownia bibliografii czasopism, kierowana przez prof. Wierczyńskiego, współpracuje przy wydaniu bibliografii na Dziesięciolecie Polski Ludowej.

Słowniki — pilna potrzeba

Duże znaczenie mają również zespoły językoznawców, pracujące w ramach Instytutu Badań Literackich. Przygotowują one przede wszystkim szereg nieodzownie potrzebnych słowników polskich, jak np.: słownik współczesnej polszczyzny, słownik etymologiczny (opisujący dzieje poszczególnych wyrazów), słownik pisarzy staropolskich, w szczególności szesnastowiecznych. Wydawnictwa te uzupełnią cenne, ale dzisiaj już w wielu wypadkach przestarzałe słowniki: Lindego Karłowicza i Kryńskiego. W tych pracach językowych zwraca się uwagę nie tylko na wyraz samodzielny, ale i na połączenie słów w zdaniu, bada się składnię polską i styl poszczególnych pisarzy. W tych nowatorskich dążeniach ma niepoślednią udział poznańska pracownia językowa pod kierunkiem prof. Kuraszkiewicza.

Instytut Badań Literackich postawił sobie również za zadanie ugruntowanie, a właściwie opracowanie na nowych podstawach teorii i metodologii nauki o literaturze polskiej. W tym celu obok studiów nowatorskich i postulujących, jak wydana przeszło dwa lata temu książka Henryka Markiewicza, traktująca o zagadnieniach realizmu krytycznego i socjalistycznego — IBL przygotowuje wydanie słownika terminów literackich, będącego właściwie małą encyklopedią teorii, metodologii i systematyki literatury. Słownik ten w szeregu artykułów, jak np.: o komedii, powieści, realizmie streszczać będzie dotychczasowe poglądy badaczy na ten temat i podawać nową, naukową koncepcję opracowywanych zagadnień.

Opracowania problemów historyczno-literackich, interesujące dla wiedzy polonistycznej, objęte są m. in. serią studiów historyczno-literackich, wydawanych pod redakcją prof. Jana Kotta. Studia te omawiają zazwyczaj wycinki większych problemów, czy zespołów problemów, nurtujących naukę o literaturze polskiej. Do nich należy np. rozprawa prof. Wyki o „Tece Stańczyka" na tle historii gospodarczej i politycznej Galicji, dwutomowy wybór prac, dotyczących pozytywizmu polskiego, wydane ostatnio studium Jacka Trznadla „O poezji Mieczysława Jastruna", a także wiele innych. Zresztą prace naukowe, inspirowane i wykonywane pod nadzorem IBL-u, ukazują się również w innych wydawnictwach.

Działalność popularyzatorska

Nie należy jednak sądzić, jakoby Instytut Badań Literackich pracował jedynie dla grona badaczy wtajemniczonych w arkana wiedzy polonistycznej. W zasięgu jego działalności leży również praca popularyzatorska, adresowana do interesującego się literaturą polską, choć niefachowego czytelnika. Dla niego właśnie przeznaczona jest Biblioteka Narodowa, wydawana przez Ossolineum we Wrocławiu, której poszczególne pozycje opracowywane są nieraz przez współpracowników IBL-u. Również dla szerokich rzesz czytelników przeznaczone są krytyczno-naukowe wydania dawnych pisarzy, których znajomość była dotychczas niezbyt częsta i najczęściej niekompletna. Do takich wydań należy np.: edycja utworów Trembeckiego, dokonana przez prof. Kotta, czy dzieła Ignacego Krasickiego, wydane niedawno pod redakcją prof. Tadeusza Mikulskiego.

Organem Instytutu Badań Literackich jest kwartalnik „Pamiętnik Literacki". Grube zeszyty, a właściwie tomy tego czasopisma zawierają fragmenty większych prac względnie całe rozprawy — którym patronuje IBL, odnalezione lub nie wydane dotąd teksty literackie, recenzje z polskich i obcych, szczególnie radzieckich dzieł historyczno-literackich. Lektura „Pamiętnika Literackiego" jest więc konieczna nie tylko dla badacza literatury-naukowca, ale i dla studenta polonistyki czy nauczyciela języka polskiego w szkole średniej, a nawet podstawowej.

O naszym Wieszczu

W Roku Mickiewiczowskim Instytut Badań Literackich poświęca szczególną uwagę dwom wielkim edycjom. Pierwszą z nich jest wydanie zakrojonego na ogromną skalę Słownika Mickiewiczowskiego, ukazującego w całej rozciągłości bogactwo języka i stylu twórcy „Pana Tadeusza". Drugim zadaniem IBL-u jest dokończenie Wydania Narodowego Dzieł Mickiewicza, którego ostatnie tomy obejmą korespondencję, w dużej mierze dotąd niepublikowaną. Poza tym współpracownicy Instytutu Badań Literackich przygotowują szereg rozpraw związanych z życiem i twórczością tak samego Mickiewicza, jak i innych pisarzy polskiego romantyzmu. Pierwszą jaskółką wzmożenia tego rodzaju pracy wydawniczego było opublikowanie w ubiegłym roku przez znanego w Poznaniu prof. Wacława Kubackiego, tomu studiów mickiewiczowskich pt. „Żeglarz i pielgrzym".

Patrząc na ogromne osiągnięcia i zamierzenia Instytutu Badań Literackich, musimy pamiętać o tym, że jest to zaledwie początek jego działalności, a początek jest dla każdego przedsięwzięcia naukowego najtrudniejszy. Instytut Badań Literackich przeszedł zwycięsko tę ogniową próbę i dlatego sądzić należy, że jego rozwój będzie jeszcze wspanialszy niż dotychczas. Troskliwa opieka Państwa, zainteresowanie i poparcie społeczeństwa dają tego gwarancję.

ZBIGNIEW FĘDZIŃSKI

Ze starych szpargałów

Zemsta proboszczowska

W „Materyałach do etnografii słowiańskiej — Pieśni i dumki — Tańce", wydanych przed pierwszą wojną światową, na stronie 299 czytamy:

„Lud utrzymuje, że jakiś szlachcic Kadzidłowski, dziedzic Gosławic (powiat Konin — przyp. red.), człowiek złośliwy, jawnogrzeszny, przewrotny, okrutnie obszedł się z miejscowym proboszczem. Za to go Pan Bóg potopem ukarał, deszczem czternastodniowym wszystkie jego posiadłości zalał, a on sam biedak do dziś dnia pokutuje, tułając się i tłukąc co noc po lesie."

Z archiwum kościelnego w Kazimierzu doczytać się wszakże można, że ów Kadzidłowski był na swój wiek wielce uczony i światły i jasno widział niejedno zło kraju, pragnął zmian szczególnie w religii, przeto też ustawicznie darł koty z księdzem, który go ludowi obmierził.

Starodawna roślina
— znów wraca do godności

Nawet najdalej od rolnictwa stojący człowiek wie przecież, że np.: zboża uprawia się nie dla słomy, lecz dla ziarna, buraki zaś nie dla liści, lecz dla ich korzenia. Tak już bowiem jest ze wszystkimi roślinami, że uprawiamy je dla pewnej części plonu, która ma wartość zasadniczą i która jest celem produkcji — produkt zaś uboczny, jakim jest słoma i plewy zbóż czy liście buraków, wykorzystujemy dodatkowo jako mniej lub bardziej cenne dla gospodarstwa.

Ale podobnie jak i wszędzie — również i w świecie roślinnym

NIE MA REGUŁY BEZ WYJĄTKU.

jest bowiem taka roślina, której całkowity plon jest niesłychanie cenny i w całości wykorzystywany przez gospodarkę narodową jako surowiec przemysłowy o nie bylejakiej wartości. I nawet trudno byłoby tu rozstrzygnąć, czy większa wartość tej ciekawej rośliny kryje się w jej ziarnie, czy też w słomie.

Teraz domyślą się zapewne czytelnicy, że ową rośliną, o której słów parę powiemy, jest uprawiany od zamierzchłych czasów len. Historia lnu nie jest jeszcze do dziś wyjaśniona. Wielcy uczeni, jak Wawiłow czy de Condolle, nie podają bowiem ani formy macierzystej ani pierwotnego pochodzenia tej rośliny, wskazując jedynie na ośrodek przednioazjatycki i przypamirski jako miejsca największej różnorodności form. Badania archeologów mówią nam, że wśród roślin uprawnych starożytnego Egiptu i ludów azjatyckich zjawił się len już z góra

NA 2 TYSIĄCE PIĘĆSET LAT PRZED NASZĄ ERĄ (NEOLIT)

Uprawa lnu i sztuka jego przerobu na płótno i tkaniny znana była również tak starożytnym Grekom i Rzymianom jak i naszym słowiańskim pradziadom. Toteż wyroby lniane były przez bardzo długie lata cennym przedmiotem handlu.

Wiek XIX zahamował szerszą uprawę lnu w Europie. W tym bowiem czasie następuje silny rozwój krajów kolonialnych, z których przybywa bawełna, stwarzając silną konkurencję naszej roślinie. W Polsce druga połowa wieku XIX oraz dwudziestolecie międzywojenne wytworzyły dla lnu również sytuację wysoce niesprzyjającą. Czynniki gospodarcze nie doceniały znaczenia uprawy lnu, który służył niemal wyłącznie do produkcji wiejskich domowych tkanin i wyrobów w przemyśle chałupniczym. Jedynie nikły procent włókna lnianego, wyprodukowanego przez wieś, skupowany był przez prywatnych kupców i dostarczany do przemysłu lub do hurtowników-eksporterów. Eksport zaś uzależniony od koniunktury międzynarodowej i wymagań importerów stwarzał często przykre niespodzianki.

A przecież, jak już wspomnieliśmy, we lnie kryją się liczne nieprzeciętne bogactwa i to nie wiadomo czy większe w ziarnie czy też w łodydze. Spróbujmy je sobie podsumować.

Wartość nasion polega na dużej, bo sięgającej od 22,5 do 45 proc. zawartości tłuszczu, z którego

OLEJ MA RÓŻNORAKIE ZASTOSOWANIE.

Ze względu na łatwość wysychania jest on niezastąpionym surowcem do wyrobu farb, pokostów, lakierów i kitu. Ponadto ma zastosowanie w przemyśle gumowym, elektrotechnicznym, mydlarskim, garbarskim i w farmaceutycznym. Olej lniany nadaje się również do konsumpcji, a w przemyśle spożywczym używany jest do produkcji konserw.

Otrzymywane przy tłoczeniu oleju makuchy są bardzo cenną wysokobiałkową paszą treściwą dla inwentarza. Niezłą paszą, dorównującą średniemu sianu, są też plewy z główek, pozostające przy omłocie. Z punktu widzenia rolniczego istotny jest fakt, że przez skarmianie inwentarza częścią plonu lnu, cenny składnik mineralny — azot, pobierany w czasie wzrostu i zebrany w białku, wraca z obornikiem z powrotem do gleby.

Spójrzmy teraz, jak na tle wybitnych wartości nasion, przedstawia się wartość lnu jako surowca włókienniczego, służącego do produkcji najróżniejszych wyrobów technicznych, tkanin użytkowych i tkanin opakunkowych.

WŁÓKNO LNIANE JEST NAJBARDZIEJ TRWAŁYM SUROWCEM

ustępując jedynie włóknom ramii i kędyru, których produkcja w skali światowej jest bardzo nikła.

Tkaniny lniane wytrzymują znacznie więcej prań niż bawełna, odznaczając się trwałością w użyciu i odpornością na butwienie. Tkaniny lniane w stosunku do bawełnianych trudniej się brudzą a łatwiej tracą brud w praniu, bieląc jeszcze w miarę użytkowania, gdy tymczasem tkaniny bawełniane szarzeją. Wytrzymałość przędzy lnianej na rwanie i na znoszenie ciężaru jest również parokrotnie większa od wytrzymałości przędzy wełnianej i bawełnianej. Wyroby lniane wykazują większą wartość higieniczną, gdyż — jak stwierdzono w szpitalach — na bieliźnie lnianej gromadzi się mniej bakterii niż na bieliźnie bawełnianej. Dodajmy jeszcze, że najszlachetniejsze i najtrwalsze papiery wyrabia się ze zniszczonych i zużytych szmat lnianych.

Te wspomniane pokrótce wielkie zalety włókna lnianego torują mu dziś drogę nawet w krajach bawełnianych. Wyższość bawełny polega bowiem jedynie na łatwiejszym przyjmowaniu barwników i łatwiejszym przerobie na cienkoprzędnych maszynach.

Wypada tu jednak wspomnieć, że troska o zastąpienie bawełny surowcem krajowym spowodowała

WYNALEZIENIE KOTONIZACJI CZYLI UBAWEŁNIANIA

Proces kotonizacji polega na rozdziale za pomocą metod fizyczno-chemicznych włókna lnu lub konopi na drobne elementarne włókienka naśladujące watę bawełnianą i mogące być z powodzeniem zastosowanymi w domieszce z nią przy wyrobie wszelkiego rodzaju nici i tkanin na cienkoprzędnych maszynach. Ponadto kotonizacja umożliwia racjonalne wykorzystanie odpadków (pakuły, wyczeski), jakie pozostają przy produkcji włókna długiego.

Toteż obecna sytuacja lniarstwa w Polsce zmieniła się zasadniczo. Z kraju eksportującego nadwyżki włókna staliśmy się krajem wchłaniającym każde ilości surowca przez rozwijający się imponująco przemysł włókienniczy. Posiadamy dziś pokaźną sieć lniarskich zakładów przędzalniczych i roszarń. Posiadamy kilkakrotnie większą ilość wrzecion mechanicznych, zastępujących dawne kołowrotki i krosna. Kobieta wiejska nie potrzebuje już poświęcać zimowych wieczorów na przędzenie, a pamięć o wiejskich przaśniczkach zachowa się wkrótce już tylko w pieśni Moniuszki.

Nad rozwojem lniarstwa pracuje dziś szereg instytucji. Prócz hodowców i prac naukowo-doświadczalnych prowadzonych przez Wyższe Szkoły Rolnicze i na mniejszą skalę przez Zakłady Przemysłu Lniarskiego — całokształt prac naukowo-badawczych na odcinku hodowli, uprawy i przeróbki skupia się w Instytucie Włókien Łykowych w Poznaniu, a na odcinku włóknoznawstwa w Głównym Instytucie Włókiennictwa w Łodzi.

Inż. M. Rembowski

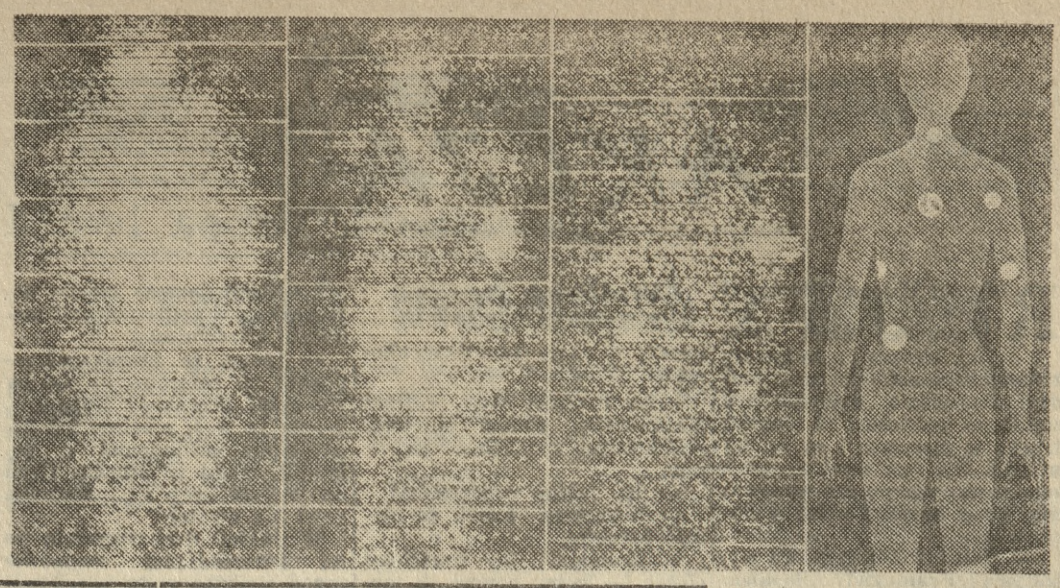

RZECZY ciekawe

Przed sądem londyńskim stanął jeden ze znanych antykwariuszy, oskarżony o sprzedaż sfałszowanych włosów sławnych ludzi. Każdy pukiel włosów zaopatrzony był przez niego w uwierzytelniony certyfikat pochodzenia. Przeprowadzone dochodzenia ustaliły, że przedsiębiorczy kupiec sprzedał w ostatnich trzech latach przeszło pięćset kompletów włosów. Dostarczał ich szpic pokojowy.

* * *

Dr Wertham słynny psycholog w Chicago stwierdził autorytatywnie: „60 procent sensacyjno - kryminalnej literatury młodzieżowej czytają ojcowie. Na domiar dają oni swoim synom pieniądze na jej zakup, gdyż sami wstydzą się nabywać książki tego typu w kioskach."

* * *

W Tel Avivie odbyła się ostatnio wystawa malarzy surrealistycznych, którą zwiedzał również niejaki dr Reubeni, specjalista chorób umysłowych. Jeden ze zwiedzających gości zwrócił się do znakomitego lekarza z prośbą o bliższe wyjaśnienia zasad surrealizmu. Przez dwie godziny tłumaczył mu dr Reubeni i to z takim skutkiem, że dostał napadu szału. W rezultacie znakomitego specjalistę odwieziono do szpitala, w którym piastował do tej pory funkcję naczelnego ordynatora.

* * *

Miss Ivy Beaumont jest angielską nauczycielką i wybiera się w najbliższym czasie do Egiptu, by zwiedzić pewną staroegipską świątynię, gdzie przed 3000 laty... tańczyła! Jak twierdzi Miss Beaumont — jej poprzednie życie wcielone było w osobę egipskiej księżniczki Ta Liket Ventiu. Nie tylko ona sama w to wierzy, lecz razem z nią dalszych pięciu spirytystów, którzy bliską już podróż podejmą z nią razem. Poza tym nauczycielka Beaumont alias księżniczka Ta, jest naukowcem i specjalistą od staroegipskiego języka. Jakkolwiek byłoby, znakomita tancerka z książęcego rodu otrzymała od swego rodzinnego miasta Blackpool urlop miesięczny, aby mogła odbyć podróż w... przeszłość! Tylko jaki taniec tam zademonstruje?

Lecznicza moc atomu

Wielu ludzi przeraża się na samą myśl o energii atomowej, przypominając sobie straszne spustoszenie, jakie poczynił pierwszy wybuch bomby napełnionej uranem 235 nad miastem japońskim Hiroshimą. Myśląc jednak o energii rozpadu materii trzeba pamiętać, że może ona, i powinna przynieść ludzkości prawdziwy wiek złoty. Możliwości są szerokie. Zaledwie przed rokiem świat zdumiał się, gdy Agencja TASS nadała telegraficzną wiadomość o tym, że w Związku Radzieckim pracuje pierwsza na świecie siłownia atomowa. Dziś nauka o fizyce jądrowej poszła jeszcze dalej — właśnie dzięki zastosowaniu energii atomowej dla celów pokojowych.

Jeszcze nie tak dawno znała medycyna tylko jeden pierwiastek promieniotwórczy, nadający się do leczenia schorzeń rakowych człowieka. Był on niesłychanie kosztowny, gdyż trzeba go było wydobywać z ogromnych ilości (setek ton na jeden gram) rudy uranowej, w której znajduje się rad w bardzo nikłym procencie. Dziś zagadnienie uzyskania promieniotwórczej substancji dla celów leczniczych nie jest tak trudne. Wystarczy naczynie z danym pierwiastkiem lub związkiem chemicznym wstawić na określony przez doświadczenie czas do wnętrza stosu atomowego (np. elektrowni), by wydobyć „gotowy" produkt, wydzielający bardzo intensywne promieniowanie. W taki właśnie sposób uzyskuje się najsilniejszą z dotychczas znanych substancji promieniotwórczych — kobalt 60.

Nie jest to żadne czarnoksięstwo. Zwykły, neutralny promieniotwórczo kobalt (pierwiastek podobny do żelaza) został poddany w stosie atomowym nadzwyczaj silnemu bombardowaniu gradem neutronów rozpadającego się uranu 235 lub plutonu. Neutrony wtargnęły do jąder atomów kobaltu, powodując zakłócenie ich równowagi a w rezultacie ich późniejsze eksplozje. Są to oczywiście „wybuchy" bardzo małe, niedostrzegalne, w ogromnej masie wywołują jednak łatwo sprawdzalne promieniowanie alfa, gamma i beta. Te ostatnie oddają wprost nieocenione usługi lecznictwu. W wypadku kobaltu 60 jest ono szczególnie silne, bowiem sztuczna radioaktywność pierwiastka jest blisko trzysta razy silniejsza od naturalnej — radu. Można więc stosować niesłychanie małe ładunki kobaltu 60 (w formie kulek) i wprowadzać je do wnętrza organizmu, na przykład do płuc, żołądka itd. W ten sposób naświetla się schorzałe miejsce bezpośrednio. Lekarze obmyślili już szczegółową metodę naświetlania rakowatych narośli. W zależności od potrzeby, można siłę promieniowania dawkować — stosownie do ilości kulek (każda stanowi określoną jednostkę).

Niemniej ważne zastosowanie posiadają niektóre izotopy promieniotwórcze. Nie używa się ich do naświetlania chorych miejsc, a w celu ustalania diagnozy. Jak się to dzieje — możecie zobaczyć na zdjęciach, które obok zamieszczamy. Demonstrują one trzy wypadki, w których promieniotwórczy izotop pomaga wykryć rodzaj lub miejsce choroby.

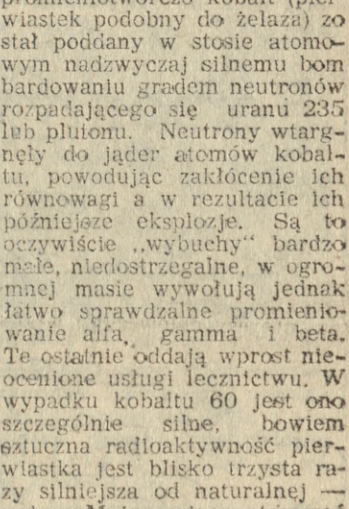

Oto osobliwy sposób stawiania diagnozy. Tym razem chodzi o tzw. „tumor mózgowy", a więc złośliwą narośl; dotychczas bardzo trudno było ustalić jej dokładne położenie. Przy pomocy „południków" i „równoleżników" — precyzja diagnozy jest o wiele większa.

Ile kłopotliwych zabiegów wymagało dawniej szybkie rozpoznanie raka, który jest po chorobach serca najczęstszą przyczyną śmierci człowieka. Choroba była szczególnie groźna, gdyż niezmiernie trudno ustalić jej istnienie w początkowej fazie rozwoju narośli. W konkretnym przypadku stwierdzono u pacjenta raka krtani. Lekarze przypuszczali, że mogą już istnieć przerzuty. Wobec tego wstrzyknięto do krwi chorego roztwór jodu, z dodatkiem jego promieniotwórczego izotopu — Jodu 131. Jod bowiem odznacza się tym, że o wiele dłużej przebywa w tkance rakowatej niż w zdrowej, z której się dość szybko wydziela.

PIERWSZA FAZA: widzimy jak radioaktywny jod rozchodzi się po całym ciele. FAZA DRUGA: zaczynają go wchłaniać ogniska rakowe, białe plamy coraz intensywniejsze. FAZA TRZECIA: film rentgenowski mówi już zupełnie wyraźnie, gdzie poza krtanią rak się umiejscowił. Wynik diagnozy naniesiono na schematyczną sylwetkę człowieka. Dzięki tak szybkiej metodzie ustalania ognisk choroby będzie można szybko poddać ją leczeniu Kobaltem 60. Jest nadzieja, że pacjent będzie długo żył.

W medycynie radzieckiej zaczęto już dość szeroko stosować radioaktywne izotopy dla celów diagnostycznych. Oto, w jaki sposób bada się wadę serca. Do żyły przedramienia wstrzykuje się promieniotwórczy roztwór fizjologiczny soli. Przy pomocy specjalnie skonstruowanego aparatu do pomiarów radioaktywności lekarz obserwuje, jak płynie krew z przedsionków do komór.

Ogórki i pszczoły pod Biegunem Północnym

Od wielu lat nauka radziecka dąży do zaaklimatyzowania zbóż i warzyw w chłodniejszym klimacie. Wysiłki te zostały uwieńczone wielomasukcesami i granice uprawy szeregu zbóż i warzyw zostały przesunięte znacznie dalej na północ.

W ostatnich latach dokonano na tym odcinku nie byle jakiego eksperymentu, a mianowicie rozpoczęto uprawę warzyw w okolicach położonych o 500 km na północ od kręgu polarnego. Uczeni zachodnioeuropejscy przyjęli wiadomość o tych zamierzeniach sceptycznie. Warzywa na 72 stopniu szerokości geograficznej — absurd! — twierdzili. Uczony niemiecki — Gaberland „dowiódł" w specjalnym traktacie, że jest to całkowicie „niemożliwe". Po pierwsze — dowodził — jest tam tak chłodno, że nawet w lipcu zdarzają się przymrozki. Po drugie — nawet wyhodowane w cieplarniach warzywa nie będą owocowały, gdyż brak jest owadów, które by zapyliły kwiaty. Chyba że ludzie będą własnoręcznie zapylali wszystkie kwiaty...

Prof. Gaberland pomylił się jednak. Miał on rację, lecz nie przewidział dwóch rzeczy: że nauka radziecka wyhoduje chłodoodporne odmiany warzyw i że na 72 stopniu szerokości geograficznej zjawią się pszczoły.

Bardzo ciekawą i pouczającą jest historia tych polarnych pszczół. Pierwszym człowiekiem, który hodował pszczoły za kręgiem polarnym, był agronom — W. Demidczenko, który przeprowadził szereg badań na tym odcinku w roku 1934 w pobliżu Murmańska. W 1949 roku zaczęto prowadzić te badania na szerszą skalę, gdy Akademia Rolnicza im. Timiriazowa wysłała ekspedycję, złożoną z czołowych uczonych radzieckich za krąg polarny, celem zbadania, czy pszczoły mogą okazać się pomocne w podniesieniu urodzajów na dalekiej Północy, czy mogą tam żyć dłuższy czas, czy znajdą tam wystarczające pożywienie itd.

Uczeni stwierdzili, że kwiaty roślin, rosnących na Północy, nie są bynajmniej uboższe w nektar. Wprost przeciwnie, takie same gatunki kwiatów badane pod Moskwą i za kręgiem polarnym, wykazały, że kwiaty północne mają od dwóch do dwóch i pół razu więcej nektaru niż kwiaty z okolic podmoskiewskich.

Reakcje pszczół na zimno badał uczony radziecki — dr Awietisjan. Doszedł on do wniosku, że pszczoły nie obawiają się chłodów w tym stopniu, jak sądzili i sądzą dotychczas pszczelarze radzieccy i w innych krajach. Mają one własną metodę walki z niską temperaturą — gromadzą się w kłąb, w którego środku panuje dostatecznie wysoka temperatura. Pszczoły nie zasypiają na zimę jak inne owady, lecz są w ciągłym ruchu i żywią się miodem.

Za rada dr Awietisjana pozostawiono na zimę ule pod gołym niebem, przykrywając je tylko skrzynią z desek i warstwą suchych liści pomiędzy ścianami ula a skrzynią. W skrzyni pozostawiono otwór, by powietrze dochodzić mogło do ula. Prawie wszystkie pszczoły przezimowały szczęśliwie, z wyjątkiem tych, nad którymi zlitowali się dobrzy ludzie, zatknąwszy otwory w skrzyniach, by biedne pszczółki nie zmarzły.

Uczeni stwierdzili, że obecność pszczół podnosi znacznie urodzaje. Potwierdziła to wielokrotnie praktyka. Weźmy dla przykładu dwa sowchozy: „Industria" i „Arktika", położone w okolicach Murmańska i specjalizujące się w uprawie ogórków. Początkowo opylano ogórki ręcznie. W roku ubiegłym założono tam pasieki i zbiory ogórków wzrosły 2,5 razu.

Księgowość sowchozu „Arktika" podaje następujące interesujące szczegóły. W ubiegłym roku sowchoz uprawiał ogórki na około 1.000 m² (500 ram inspektowych). Założenie pasieki spowodowało zmniejszenie robocizny i wzrost urodzajów. Powiększyło to dochody sowchozu o 70.000 rubli. Ten dodatkowy dochód sześciokrotnie przewyższył koszty zakupu i utrzymania pszczół. Na rok następny pszczoły zabezpieczyły sobie pełne utrzymanie zebranym miodem, a dały ponadto średnio po 30 kg miodu na rodzinę pracownika sowchozu.

B. Ż.

Nowości radzieckiej techniki

Płyn przeciw łysinie... futra

Moskiewski Techniczny Instytut Przemysłu Lekkiego im. Kaganowicza opracował m. in. zagadnienie przedłużenia życia futer. Ludzie na ogół wierzą święcie, że włos z futra wyciera się i wypada. Uczeni badający problem „łysiejących futer" doszli jednak do całkiem innych wniosków. Stwierdzili oni, że włos futrzany ani nie wyciera się, ani nie wypada, lecz łamie się u nasady. Gdy stwierdzono zasadniczą przyczynę choroby, leczenie jej było stosunkowo łatwe. Spreparowano płyn, sprzedawany dziś we wszystkich składach aptecznych ZSRR, który zapobiega łamaniu się włosów futrzanych.

Ten sam Instytut postawił przed sobą zadanie opracowania metody, która zapobiegałaby szybkiemu niszczeniu bielizny. Stwierdzono, że bielizna najbardziej niszczy się od mechanicznego tarcia przy praniu. W rezultacie opracowano recepturę proszku do prania, który dobrze oczyszcza bieliznę, bez potrzeby mechanicznego tarcia.

TO i OWO

W Stanach Zjednoczonych w Denver mieszkała pewna pani nazwiskiem Kora Allred, która zwróciła na siebie uwagę, ponieważ miała nazwisko bardzo niecamerykańskie. „All" oznacza „całkowicie", „red" — „czerwony"; całkowicie czerwony w oczach podżegaczy wojennych jest to nazwisko gorsze niż każde przezwisko.

Pani Allred pospieszyła więc do sędziego z prośbą o zmianę nazwiska.

Sędzia David Brofman, biorąc pod uwagę patriotyzm, zezwolił jej na noszenie nazwiska „Allgood", co oznacza mniej więcej „bez zarzutu".

Mamy nadzieję, że jest ona teraz w oczach Mc Carthy'ego całkowicie „Allright"!

*

W amerykańskiej gazecie „New York Times" umieszczono ogłoszenie, w którym poszukuje się służącej.

W celu zachęcenia kandydatek było tam takie zdanie: „Zważcie, że okno kuchni wychodzi na ruchliwą ulicę, gdzie wypadki i napady rabunkowe są nader częste. Średnio jeden trup dziennie".

*

„Halo" — zawołał rozbitek — który po czterech dniach przebywania na kawałku belki został znaleziony przez okręt pasażerski. „Dlaczego nie bierżecie mnie na pokład?"

„Trochę cierpliwości", zawołał pierwszy szturman, „są jeszcze pasażerowie pierwszej klasy, którzy pana nie sfotografowali".

AKCJA

Wojciech Drygas

Referent Bidonek przeżywał swój wielki dzień. Był przywódcą akcji. Czuł, jak bicepsy prężą mu się z dumy. Ogromne poczucie władzy rozsadzało marynarkę z zielonego welwetu, za wąską trochę w piersiach i za krótką w talii. Nie rozstawał się też z telefonem: raz po raz wydzwaniał nowy numer i wołał w słuchawkę:

— Halo, tu Bidonek. To wy, sołtysie Framuga? Chciałem wam tylko powiedzieć, że od dzisiaj ja jestem na czele tej akcji... Tak jest — na czele! I spodziewałem się po was, że i wy staniecie po tej linii z całym zapałem i świadomością. Więc tymczasem proszę ja was, ustawiajcie świadomość mas... Jak zwykle na wyższy szczebel... Tak jest — na wyższy szczebel! Ja wkrótce rzucę Wam na pomoc propagandę wizualną. Rozumiecie? W i z u a l n ą! Że jak? Ej, człowieku, człowieku! I co ja mam z wami zrobić, kiedy wy nic nie rozumiecie... O niczym zielonego pojęcia... Nie, nie, tu nie chodzi przecież o t a m t ą akcję — tu chodzi o t ę akcję. No, po prostu o akcję przeciwstonkową...

Przez otwarte okno dojrzał Malinowską, pomoc biurową, nadchodzącą z plikiem papierów.

— Są jakieś wiadomości?

— Sekretarz mówi, że zjedzie komisja.

— Komisja? — westchnął ciężko — ładne rzeczy. A mówiłem temu Cerowniczce: „Panie Cerowniczka przypominam panu, że jest już od pięciu miesięcy nowy rok, że jest wiosna, że się nowe kartofle zazieleniły, że powiat, że województwo, że wszystkie czynniki będą od nas wymagać, a pan wciąż jeszcze tkwisz w zeszłorocznych wykopkach...".

— Z wykopkami już skończył — poprawiła Malinowska. — Teraz to on sporządza sprawozdanko z akcji zimowej.

— Tam, do kata! — wyrzucił jednym tchem Bidonek. — Tu w pełni wiosna, a on jeszcze zimy nie przeskoczył. Miała być propaganda wizualna — nie ma propagandy. Miał być afisz przeciwstonkowy — nie ma afisza. Co my zrobimy bez afisza? Co powie komisja? Co?

W tym samym momencie za plecami Bidonka zaskrzypiały drzwi. Donośny głos powiedział: „Wołał mnie ktoś?" — i wszedł Cerowniczka.

— Nareszcie! — zmierzył go okiem referent. — Co z tym afiszem, panie Cerowniczka? Miałeś pan zaprojektować afisz. Dawaj pan afisz.

A po chwili:

— Co to właściwie ma być? Co?

— Hm... zmieszał się Cerowniczka. — Wizualnie rzecz biorąc, to na pierwszym planie traktor, niby pod tę mechanizację, a na traktorze — traktorzystka, żeby były kobiety, co się na równi z mężczyznami garną do różnych zawodów, a te słupy, co je pan referent widzi na planie drugim — to elektryfikacja. Tam w górze gołębie...

— A gdzie stonka? Gdzie pan ma stonkę?

— Stonka jest na planie trzecim — Cerowniczka wodził paluchem po kartonie. — O, siedzi sobie tutaj cichutko w krzakach i szczerzy zęby...

— Zęby szczerzy? — dziwił się Bidonek. — Czy pan jest całkowicie pewny, że stonka ma zęby?

Cerowniczka zachichotał:

— Ech, panie referencie, tu chodzi przecież o symbol: szczerzy zęby, bo jest wrogiem! Każdy wróg szczerzy zęby!

— Wszystko pięknie i ładnie... — wsparł się w biodrach referent Bidonek. — I pomyślane z głową. Ale dlaczego ta stonka taka mała? I dlaczego na trzecim planie? Stonka musi być, panie Cerowniczka, na planie pierwszym, rozumie pan? Tysiąckrotnie powiększona, żeby zachodziła aż pod te słupy, a traktor i traktorzystkę zmniejszyć. I żeby ta traktorzystka tak się szeroko nie śmiała, bo jej wychodzą zęby i zaraz różne elementy powiedzą, że ona też je szczerzy po linii tego symbolu.

Od dłuższej już chwili, za otwartym oknem, Malinowska prowadziła z kimś ożywioną rozmowę. Teraz wsunęła głowę z powrotem do izby i rzekła:

— Panie referencie, przyjechali ci ze spółdzielni produkcyjnej i pytają, dokąd mają się zgłosić po jakieś tam opryskiwacze i środki owadobójcze.

— Opryskiwacze? Środki samobójcze?

— Nie samobójcze. Owadobójcze. Mówią, że na stonkę.

Bidonek zakolebał się w tułowiu.

— Jak to? — zawołał. — Przystępują do akcji bez naszego plakatu? Bez propagandy wizualnej?

— Niech jeszcze trochę poczekają... — zaproponował nieśmiało Cerowniczka.

— Jasne, że poczekają! — poparł go referent. — Co by nie mieli poczekać? Najpierw, proszę ja was, musimy ich odpowiednio uświadomić o potrzebie walki ze stonką. Czyli na wyższy szczebel... Rozumie pan? Na wyższy!

W jakieś dwa tygodnie po tej interesującej rozmowie przed siedzibę rady narodowej zajechała podwoda: okazała furmanka chłopska, zaprzężona w dwa tłuste kłusaki. Referent Bidonek obwieścił uroczyście: Ogłaszam wszem wobec tę akcję za prawnie i należycie rozpoczętą".

Furmanka drgnęła, źle naoliwione koła skrzypnęły i ciężkie uderzenia kopyt rozległy się po gościńcu.

— Wolniej, bo wicher plakat rwie! — denerwował się Cerowniczka.

Na skraju wioski, kędy, jak okiem sięgnąć, złociły się rzepaki, Malinowska stuknęła referenta w plecy.

— Proszę pana, jakiś człowiek szczerzy do nas zęby.

— Który to?

— A ten, w rowie...

— Może on tak szczerzy po linii tego symbolu? — zauważył Cerowniczka.

Bidonek wychylił się z furmanki.

— Czekajcie no! Zaraz wypytam! Hej tam, obywatelu, a po jakiej to linii sterczycie?

Stary już chłop wybałuszył oczy.

— Hę? Ja nie po żadnej linii, jeno krowę pasę.

— A stonka tędy przechodziła?

— A po kiego licha miałaby przechodzić?

— Panie referencie! — grzmiał Cerowniczka. — Oto mamy do czynienia, że tak powiem, z elementem nieuświadomionym.

— Na wyższy szczebel go! — zapiszczała Malinowska.

— Tak, tak, koniecznie na wyższy! — zadecydował z wysokości kozła Bidonek. — Panie Cerowniczka, plakacik w górę!

—Już się robi!

— Trochę go w prawo! O, tak! A teraz, obywatelu, nie gapcie się na mnie, jeno na afisz, i powiedzcie, czy wiecie, co to na nim wymalowane? Co? Takie duże i straszne... No, pomyślcie chwilę...

Chłop potarł z wielkiej uciechy pośladki.

— Pewnie beczka z kapustą — wypalił.

— Jaki on nieuświadomiony — załamała ręce Malinowska.

— To jest stonka, obywatelu, stonka — pouczał Bidonek. — Nie straszno wam?

— Iii, co tam ma być mi straszno, kiedy u nas w Trąbczewicach już po trzeciej lustracji pol ziemniaczanych. Każdy krzew ziemniaków przejrzelim z osobna, a także samo, jak nas pouczyli spółdzielcy, założylim poletka chwytne. To co ma u nas robić stonka? Co?

— I tak to wszystko zrobiliście bez propagandy wizualnej? — grzmiał Bidonek.

— Bez afisza? — trząsł się z oburzenia Cerowniczka.

— Nic tu po nas! — zauważyła z goryczą Malinowska. — Jedźmy, panie referencie, dalej.

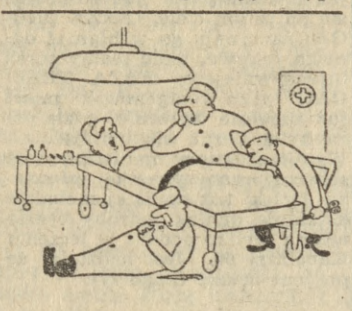

„11 325... 11 326... 11 327..."

Bezrobotni

Rys. Bidstrup — Kopenhaga

Remonty, remonty...

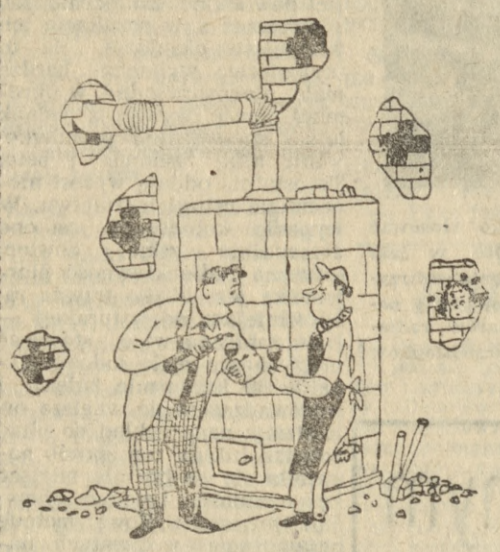

— Pan sobie nie wyobraża, jak bardzo się cieszę, że pan wreszcie odnalazł komin...

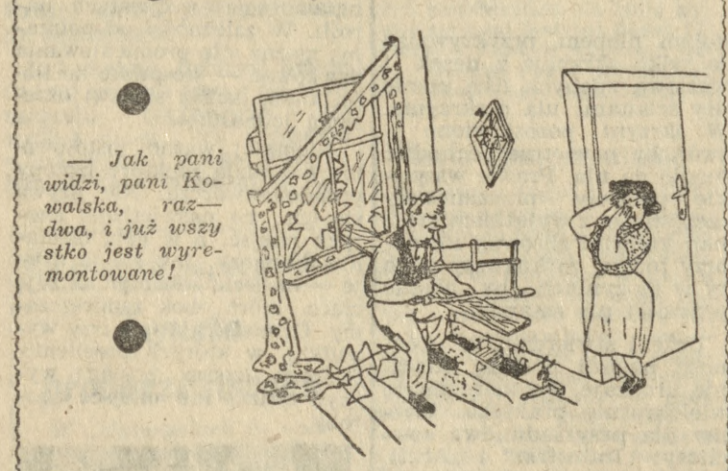

— Jak pani widzi, pani Kowalska, raz— dwa, i już wszystko jest wyremontowane!

Bez formalności

Czy potrzeba załatwiać jakieś formalności — i jakie — aby umieścić dziecko w przedszkolu?

Otóż pewne drobne formalności są nieuniknione. Znakomita organizacja służby zdrowia w Poznaniu sprawia jednak, że ich załatwianie staje się miłą drobnostką.

Należy po prostu:

1 — udać się z dzieckiem do poradni przy placu Kolegiackim, gdzie zrobią dziecku wymaz,

2 — udać się z dzieckiem do poradni przy ul. Chełmońskiego na próbę tuberkuliny,

3 — zawieźć wymaz z placu Kolegiackiego do laboratorium przy ul. Noskowskiego celem zbadania,

4 — udać się z dzieckiem do szpitala przy ul. Raczyńskich na prześwietlenie roentgenologiczne,

5 — udać się na zlecenie poradni przy placu Kolegiackim do przychodni rejonowej przy ul. 23 Lutego po zaświadczenie, że dziecko nie było zakaźnie chore,

6 — na zlecenie przychodni rejonowej przy ul. 23 Lutego udać się do poradni dziecięcej przy ul. Lampego,

7 — po wyjaśnieniu poradni przy ul. Lampego, że skierowanie było mylne, udać się pod właściwy adres, czyli na ul. Sierocą.

8 — udać się po raz drugi na ul. Sierocą po odbiór zaświadczenia,

9 — udać się po odbiór wyniku badania wymazu na ul. Noskowskiego,

10 — udać się z wynikiem wymazu na plac Kolegiacki.

To wszystko.

Nigdzie więcej matka udawać się już nie potrzebuje. Naprawdę. W dalszą drogę, a mianowicie na odpoczynek do sanatorium dla nerwowo wyczerpanych, zawiezie ją już karetka Pogotowia Ratunkowego, która pracuje „na żywioł" i załatwia petentów bez żadnych formalności. (ski)

W autobusie

— Nie wie pan, że damy nie pyta się o wiek?

(Reveille)

Nasi mężczyźni...

Maria i Karol byli już dawno po ślubie, lecz gdy pewnego razu został on delegowany na parę dni do innego miasta, otrzymał od niej telegram, który brzmiał:

„Nie zapomnij, że jesteś żonaty — Maria."

Następnego dnia listonosz wręczył jej depeszę tej treści:

„Telegram otrzymałem za późno! — Karol."

...i nasze dzieci

— Maryśka, uczesz się, twój sinobrody już się zjawił!

Fraszki

Pewnej pani

Milczenie jest złotem —
Stąd wysnuwam wątek,
Że tracisz codziennie
Olbrzymi majątek...

A. Starosta

Co wiem o Konopnickiej

Nauczycielka spytała Wicka:
Jakie zasługi ma Konopnicka?
Odrzekł: „Pisała wierszy bez liku,
By łatać nimi dziury
w „Świerszczyku".

K. Szalej

Ponurak

Wystrzegasz się śmiechu,
zwalczasz wszystkie żarty,
a mimo to jesteś
śmiechu — śmiechu warty!

Wł. Scisłowski

O pewnej cnotliwej

Nie sztuka cnotliwą być jak [jagnię,
Gdy nikt twej cnoty nie [pragnie.

J. Wasylkowski

Po nitce do kłębka

Na zdrowie!

Kochana Redakcjo!

Pragnę za Twoim pośrednictwem złożyć dyrekcjom MHD i PSS, a zwłaszcza kierownikom nocnych sklepów nasze serdeczne, staropolskie „no to cyk", a mianowicie za szeroko podjętą akcję w kierunku poratowania naszego zdrowia. Takim kierownikom i personelowi, jak w nocnych sklepach przy ul. Dąbrowskiego i Armii Czerwonej w Poznaniu, z całego serca postawilibyśmy kolejkę zakrapianej — za brak kolejki. Bo musisz wiedzieć, Kochano Redakcjo, że w tych sklepach wódkę sprzedaje się bez kolejki. Aż miło popatrzeć. Ogonek do lady jak jasna niewinna, kobiety stoją po chleb, po cukier, po zapałki i inne nieciekawe rzeczy i z nudów złoszczą się na to, że nam przy wódzi sprzedaje się bez czekania również kiełbaskę czy inszy wiktuał. Z jakiego powodu ta złość? Wiadomo, zagrycha musi być. A poza tym chodzi o nasze zdrowie. Oczekiwanie denerwuje. A nerwy szkodzą na zdrowiu. Czyż więc obsługa, sprzedając wódkę poza kolejką, nie przyczynia się do polepszenia naszego zdrowia? Przyczynia się.

A więc — na zdrowie!

Franuś Szrapsik

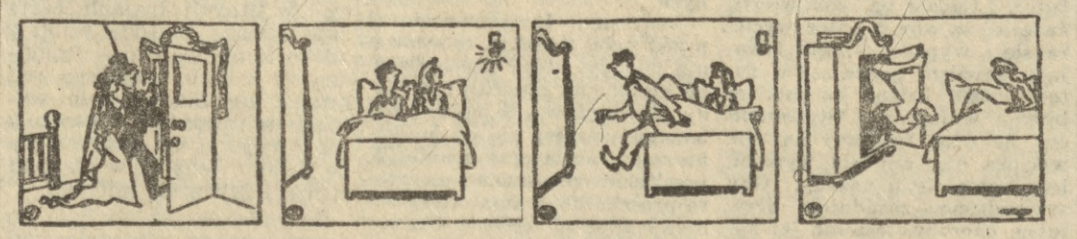

Siła przyzwyczajenia